

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

2

Pojmujesz, *ma bien-aimée Hortence*, że we mnie obudziła się zaraz właściwa naszej pici przekora i kiedy dziadunio dwukrotnie oświadczył, że każe wykrobać nazwisko Włocha, który malował portret pani chorążyny Dziaduskiej, ja święcie i w ci chości postanowiłam wprzód odczytać to nazwisko. Ze na to trzeba będzie niemałej odwagi i to pewna, bo ten portret niejakiem przestraczem mnie przejmuję, ile że przedstawia osobę, której duch, według legendy miejscowej błdzi nocami po zamku; ale, że postanowiłam sobie dociec do tej tajemnicy, więc przy pomocy Zuzi mam nadzieję tego dokonać. W całej tej tajemniczej historii, przyznasz sama, *ma chère amie*, jest jakaś romantyczna strona, bo zważ proszę: istniała kiedyś, a jak dziadunio powiada, przed dwustu laty, jakaś piękna pani chorążyna Dziaduska, oczywiście mężatka, żona jakiegoś pana chorążego Dziaduskiego. To pierwsza osoba dramatu, czy tragedii. Drugą osobą jest malarz, Włoch, zapewne także piękny, bo wszyscy Włosi są bardzo przystojni... Reszty łatwo się domysleć. Pani chorążyna zakochuje się we Włochu, i jak dziadunio mówił „rzuca płamę na nazwisko Dziaduskich” i staje się dla pięknego Włocha „cieniem tylko”. Oto dane, na których taka pani Genlis naprzykład, jakizby piękny romans osnuć potrafiła! Ja romansu nie napiszę... choć, kto wie? Nie śmiej się ze mnie, *ma chère Hortence*, bo w tej pustce i z nudów jestem gotowa i to uczynić, a jeżeli nie napiszę tkliviego romansu o polskiej damie z przed dwustu lat i pięknym artyście włoskim, to przynajmniej, o ile się tylko da, jak najdokładniej postaram się zbadać całą tę historię, którą widocznie dziadunio chce przedemną ukryć. Na nic mu się to nie przyda, bo czyż nie jestem ciekawą córką Ewy? a zresztą, przyznasz sama, że to zadziwiające podobieństwo pani chorążyny do mnie, jest dostateczną pobudką do tych interesujących poszukiwań! Dziadunio, pokazując mi ten portret, pamiętam doskonale, rzekł: „obyś aśka tylko z twarzy była do niej podobna”. Czyżby ten starzec lękał się, żebym nie weszła kiedyś na tę samą drogę, co chorążyna i nie rzuciła płamy na nazwisko Dziaduskich? Prawda, że to przypuszczenie jest śmieszne, tem więcej, że przecież ja w żadnym włoskim malarzu się nie zakocham, bo jak wiesz, *ma petite*, że inny, rycerski ideał w sercu mojem noszę...

Ale czas wrócić do opisu owego zdarzenia, niemniej, jak podobieństwo moje do portretu pani chorążyny, osobliwszego, o którym to zdarzeniu, zdaje mi się, że ci na początku tego listu wspomniałam, zarzucając, że ono całe mnóstwo czułych wspomnień i uczuć w tklivem mem sercu obudziło. I powiem ci jeszcze o, *ma très chère Hortence*, boć przed tobą żadnych sekretów mieć nie chcę, że właśnie to zdarzenie, w swej tajemniczości niezbadane, stało się źródłem owej niewytłumaczonej obawy, przed czekającem mię jakimś niebezpieczeństwem, czy nieszczęściem, jaka w mej duszy powstała, i która się stała jednym z głównych powodów, że postanowiłam pisać dziennik i wszystkie, najmniej nawet pozornie ważne zdarzenia mego tutejszego życia, skrzętnie w nim notować.

Oto, jak się rzecz miała.

Kiedy tak siedzimy z dziaduniem przy wesołym ogniu na kominku i gwarzymy o „cieniu” pani chorążyny, a wicher przeciągle i żałośliwie jęczy po kurytarzach zamkowych i śnieg suchy, a ostry dudni po okienicach, nagle dało się słyszeć głośnie i zajadłe naszczekiwanie całej psiarni dziadunia. Przyznaję, że moją wyobraźnię uderzyła mocno cała romantyczność tej sceny, przypominającej mi poemat Waltera Scotta „Marmion”, który tak namiętnie niegdyś po całych wieczorach odczytywałam. Noc zimowa, wicher jęczy po starym zamku, ogień na kominku płonie, stuletni dziadunio drzemie w fotelu, psy ujadają, a „Marmion” drży z obawy. Co za romantyczna i poetycka scena! W sali starożytnego zamku wielkie cienie się włączają po kątach, drzwi się otwierają nagle i wchodzi o północnej godzinie, jego... duch!

Co prawda, do północy jeszcze było daleko i do sali nie wszedł duch rycerza, ale *monstre* Kociuba, co oczywiście całą poetyckość tej sceny od razu zniszczyło.

— Co tam takiego — zapytał dziadunio — czego psy szczekają?

— Jaśnie panie — niedźwiedzim pomrukiem odrzekł *monstre* Kociuba — przyjechał ojciec duchowny z klasztoru.

— Jaki ojciec duchowny?

— Czy ja wiem? nie znam go.

— Z jakiego klasztoru?

— Z jakiegożby? ze Świętokrzyskiego.

— Czego chce?

— Powiada, że zabłądził i prosi, by go przyjąć. Na dworze straszna zawierucha, psa żal na świat wygnąć.

— Przyprawdź go tutaj.

Monstre Kociuba wyszedł i niebawem do pokoju wkroczył poważnie i cicho mnich w czarnej sukni, z kapturem na głowę zarzuconym, z rękami wsuniętymi w rękawy swej rewerendy i stanawszy przy drzwiach, głosem, który wstrząsnął wszystkimi fibrami mego serca, bo mi przypomniął z zadziwiającą tożsamością, czyjs... głos męski, a zarazem pieściwy... głos, który mi brzmiał zawsze w uszach i tyle wspomnień budził... otóż ów mnich rzekł po łacinie:

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum* — odrzekł dziadunio podnosząc się na fotelu — proszę was ojciec dalej... siadajcie...

Wtedy mnich postąpił parę kroków naprzód, kaptur zrzucił z głowy, światło kominka padło mu na twarz, a ja, na widok tej twarzy, zerwałam się na równe nogi, nadzwyczajnie zdziwiona, przerażona i niebiańsko uradowana, i zawołałam mimowoli:

— *Mon Dieu! c'est lui!*

Przyznasz sama, *ma mignone*, że postąpiłam bardzo nierozsądnie, że się zdradziłam z memi uczuciami, że na dobitkę wszystkiego, nogi podemną się zachwiały i z krzykiem padłam na fotel. Nie będę ci opisywała przerażenia dziadunia, dzwonienia na służbę, pojawienia się Zuzi i pocziwej Gruszki, to tylko dodam, że nawet ty, Hortence, która się odznaczasz takim chłodem i takim panowaniem nad sobą, byłabyś z pewnością omdlała, ujrzawszy przed sobą tak nagle i niespodziewanie tę twarz, figurę, głos, oczy, wszystko... Ja nie omdlałam, choć powinienam to uczynić, ale nadzwyczajna ciekawość, gorące pragnienie odgadnięcia zagadki, powstrzymały mię od tego. Nie małom trudu musiała użyć, by przekonać dziadunia, że jestem zdrowa, obracając wszystko w śmiech, i tłumacząc się, że się trochę przestraszyła postaci pana mnicha i jego stroju, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam. Dziadunio chciał, żebym poszła do swego pokoju i po wzruszeniu, jakiego doznałam, żebym odpoczęła. Ale za nic na świecie teraz na to bym się nie zgodziła, bo przekonana byłam, że mam przed sobą *le chevalier Thomas*, który przebrał się za mnicha zapewne dlatego, by mnie zobaczyć. Wydawało mi się to prawie pewnem, a przytem także poetycznem! Nawet pani Genlis, ani boski Jean Leagenc nie podobnego nie wyimaginowali. Serce mi też biło w piersiach jak młotem i wszystką duszę przelałam w oczy. I w takiej chwili uroczystej miałam stąd odejść, kiedy przedemną stał on! Nigdy! nigdy!

Łatwo pojdziesz, *ma bonne amie*, z jakim niepokojem i z jakim wylaniem się mej tkliviej duszy patrzyłam na stojącego wciąż pod drzwiami w pokornej postawie mnicha, nie mnicha. Tak, to jego głos, jego śliczne, głębokie oczy, jego figura, to on! Jedna tylko długa, czarna broda różniła go od naszego pięknego szwoleżera. Ale zapewne przyprowadził ją sobie, żeby łatwiej dostać się do mnie, odszukać w głębi Polski, w głębi puszczy Świętokrzyskich. Jakże rycerski, jak poetycki jest ten krok jego! Serce moje rwało się do niego i stałam niema, zachwycona, szczęśliwa!

Tymczasem on, zbliżywszy się parę kroków, rzekł swym głosem, który wstrząsnął mną, niby iskra elektryczna:

— Pani, racz wybaczyć, że cię przestraszył nagle pojawieniem się mojem, ale temu jest winna burza, która szaleje na dworze. Musiałem prosić w tym zamku o schronienie, ale chcąc zginąć marnie wśród zasp śnieżnych.

I pochylił swą piękną głowę, jakby błagał o przebaczenie, jak gdybym ja miała mu co do przebaczenia, ja która byłam uszczęśliwiona, w niebo uniesiona jego rycerskiem, romantycznym postępiem. Wśród tego dziadunio gadał:

— Rad jestem, mój ojciec, że ci mój zamek dać

może schronienie. Racście usiąść. Skądże Pan Bóg prowadzi?

— Z klasztoru.

— Z którego?

— Ze Świętego Krzyża.

— Żali tam jesteś ojciec mnichem?

— Tak.

— To mi dziwne, boć przecie ojcowie świętokrzyscy brody nie noszą. Reguła im tego zakazuje, o ile wiem.

Chevalier usiadł tuż przy kominku i rzekł nieco szyderskim tonem, który mię zdziwił, ale który po namyśle wydał mi się doskonale odegraną rolą, maskującą istotę rzeczy:

— Jaką jest reguła naszego klasztoru, to jeno nam jest wiadomem. Świeccy ludzie o tem sądzić nie mogą. Wszelako dla uspokojenia waszmość pana powiem, że na noszenie brody mam *specialiter* udzielone pozwolenie księdza opata, ile, że mnie mocno zęby boją. Reguła nasza daje tę moc opatom.

Słowa te wypowiedziane były tonem nieco rubasznym, który mię zdziwił, bo jak ci wiadomo, *chevalier* jest uosobieniem elegancyi i grzeczności, ale wytłomaczyłam je sobie rolą jaką mój rycerz przybrał na siebie. Dziaduniowi, jak to zauważyłam po jego fizyognomii, odpowiedź ta nie podobła się mocno i przez chwilę panowało w pokoju ambarasujące milczenie, przez czas którego mnie-many mnich szukał mię oczami, bo trzeba ci wiedzieć, że zmieszana tem wszystkim i chcąc zataić swe zmieszanie, ukryłam się w cieniu, w głębi tej dużej i pełnej mroków komnaty. Milczenie to przerwał dziadunio:

— Jakże cię ojciec zowią w klasztorze?

— Gwido, do usług waszmości pana.

— Hm! — mruknął dziadunio — dość często bywam w klasztorze, bom jest jego, syndykem i przyjaźnię się z księdzem opatem i znam wszystkich ojców, a nie słyszałem, by który z nich zwał się Gwido.

— Nic w tem dziwnego, bom ja przybył na Święty Krzyż z Tynieckiego opactwa ledwie tydzień temu. Skądże waszmość mógłbyś mnie znać?

— Ha! skoro tak, to oczywiście skądzebym cię, księżu, mógł znać?

— Ja nie jestem ksiądz.

— A cóż? — zapytał zdziwiony dziadunio.

— Braciszek, mój mości panie, braciszek jam i nie wiem, żali zostanę kiedy księdzem.

— Czemużby nie — odrzekł dziadunio — jeżeli wola będzie po temu. Nie święci przecie garnki lepią. Ale my tu gadamy, a wy ojciec możecie głodni?

— Głodny nie jestem, jenom zziął mocno. Jeżeli łaska, to napiłbym się czego, bo mię też zgaga po klasztornym podpiwku piecze.

Wszystko to mówione było tonem rubasznym, który mnie nadzwyczajnie dziwił i przyznać się muszę, jeszcze więcej mi się nie podobał i raził mię mocno, ale ciągle tłumaczyłam to sobie rolą, jaką na siebie *chevalier* przybrał. Tymczasem dziadunio klaskał w dłonie, a gdy *monstre* Kociuba się zjawił, kazał mu przynieść miodu, bo mówił, że na zgagę i przeziębienie jest lepszy od wina.

— Mam przedni czteroletni dereniak, ale, jeżeli braciszek woli wino, to każe podać wina.

A braciszek spuszczaając wstydlawie oczy odrzekł:

— Mocnom obowiązany waszmość panu, za łaskawe względy, ale w rzeczy samej miód na przeziębienie będzie lepszy. Proszę tedy pokornie o ów dereniak.

Monstre Kociuba przyniósł tedy omszałą, pękata butlę z onym napojem, jakimś dziwnym, o którym ani ja, ani ty zapewne nie słyszałaś i postawił ją wraz z kubkami srebrnymi na stolczku w pobliżu kominka. Przez ten czas mnich, nie mnich, bo ostatecznie nie wiem, czego się pod tym względem trzymać, rozsiadł się wygodnie w fotelu i gładząc ręką swą śliczną brodę, która się lśniła jak krucze skrzydła, szukał mnie ciągle oczyma, ale ja się dobrze ukryłam w ciemności i zachowywałam się najciszej, bo lękałam się, żeby dziadunio nie przypomniał sobie o mnie i nie kazał mi wyjść z pokoju. Tymczasem nalano w kubki złocistego płynu, od którego mocny miodowy zapach rozszedł się dookoła, mnich skosztował, mlasnął ordynaryjnie językiem i rzekł:

— Wcale przedni miód, bardzo przedni i miłe ciepło po ciebie wywołuje. Sam go waszmość pan syciłeś?

Dziadunio widocznie zrażony tą zbytnią poufalskością przybyłego, rzekł chłodno:

— Nie! mam od tego służbę.

— Ba! niby to służba takie specjały kiedy do-brze robi. Jać to wiem z doświadczenia, bo to u mnie na wsi miałem podstarościę, który powiadał, że